Rok VI. 16 Września 1934. Nr. 38

DZWONECZEK

Królewski sadownik.

Obrazek sceniczny. Napisał Kazimierz Kalinowski.

Scena przedstawia ogród w Wilanowie pod Warszawą r. 1683. W głębi drzewa stare, na przedzie kilka młodych lip, świeżo sadzonych. Jedną z nich trzyma król Jan Sobieski (ubiór skromny domowy, żupan, wysokie buty, goła głowa), a u jego stóp oklepuje ziemię łopatą Wojtek, (młody chłop w sukmanie granatowej, w butach wysokich, bez czapki).

WOJTEK: Deszczyk zrosił grunt uczciwie. Korzeń mocno w ziemi siedzi. Toć pewnikiem pociechę mieć będzie z tej lipy Król Jegomość.

KRÓL: A tyś, Wojtku, myślał, że król sadzi naniepewne. Popatrz, chłopie, stać będą te lipy równo, prosto, w rzędzie, niby w szeregu żołnierze.

WOJTEK: Pewnikiem, Najjaśniejszy Panie! Dyć taki je sadzi wojownik zawołany.

KRÓL: Zawołany, powiadasz, sadownik.

WOJTEK: Uchowaj, Boże, takbym nie śmiał przecie. Wojownik rzekłem, wojownik.

KRÓL: A to z ciebie niemądrala. Wstydź się tak myśleć o swym królu. (*Opiera się na łopacie*). Odkądże to Jan Sobieski patrzyłby krzywo na sługi, że go dobrym zwą sadownikiem? Toć moja duma te lipy, które wszędzie sadzę z zamiłowaniem. Cobym ja dał za to, by za kilkaset lat, spojrzawszy na kochaną polską ziemię, zobaczyć stare aleje lipowe, mą ręką ongi sadzone...

WOJTEK: Pewnikiem, Najjaśniejszy Panie!

KRÓL: Bo widzisz, mój Wojtku, Polak to chłop na roli. I twój król, rozumiesz, to także gospodarz u siebie w domu, na roli, a w sadzie, w stodole, w pasiece.

WOJTEK: Już to słyszeć, serce skacze kmiotkowi z radości!

KRÓL: Jest i rycerz w każdym Polaku. Ale to widzisz, dopiero w potrzebie prawdziwej, gdy wróg, nie daj Boże, wpadnie w zagony, a poganin Krzyżowi zagraża. Więc w obronie świętej ojców Wiary, wojownik się budzi w Polaku, kiedy własną piersią zasłonić trzeba świętą, swoją ziemię, jak rodzoną matkę, i wolności jej bronić do ostatniej kropli z żył. Rycerska to rzecz, obywatelska.

WOJTEK: A no pewnikiem, Najjaśniejszy Panie!

KRÓL: A tyś myślał, że królowi wstyd się przyznać, iż sobie sadownikiem jest w swoim ogrodzie. Niechby tak po każdym w Polsce gospodarzu, jako, nie przymierzając, po mnie, taka się w długie lata ostała pamiątka...

WOJTEK: Prawdziwie święte to drzewo lipa. Gdzież w podróży spotkać Bożej Matki kapliczkę, ołtarzyk, jeśli nie w starej lipie? I kwiat dla pszczół pachnący, złocisty...

KRÓL: Miodów niema nad lipiec!

WOJTEK: I żadna nie gędzi tak skrzypka, jak właśnie lipowa.

KRÓL: Z jakiegoż drewna piękniej wyrzezasz Mękę Pańską na dróg rozstaje...

WOJTEK: Jako nie z lipowego.

KRÓL: Toć pochwal króla, że dla wnuków w przyszłe wieki lipy wszędzie sadzi. Jejmość królowa upodobała sobie w Polsce lipowe aleje.

BURGRABIA (*zarządca pałacu, stary szlachcic, w kontuszu, po domowemu, zdyszany, zdala już wołając*): Jegomość! Jegomość!

KRÓL: Czegóż tam chcesz, mociumpanie burgrabio?...

BURGRABIA: Szukamy was po sadzie, Najjaśniejszy Panie. Posłowie zjechali. Wzywają naszego króla na ratunek Wiedniowi od tureckiej nawały. Pomocy waszej Królewskiej Mości przybywają błagać. Polskiej chcieliby husarji na odsiecz przeciw muzułmańskiej dziczy. Czekają. Niechże Król Jegomość raczy do pałacu się pofatygować, a strojniej się przyodziać, by godnie takie przyjąć poselstwo...

KRÓL: Wracaj ty do nich, kochanku, i tu posłów poproś na posłuchanie, skoro sprawa pilna, gorąca. Ho, ho! Europa w ogniu.

BURGRABIA (*widocznie niezadowolony z tego, szybko się oddala*).

KRÓL: A każ, burgrabio, ławy podać pod lipy. Cień będzie, ochłoda. A tam pożar wielkiej wojny... Ha, pójdziemy choćby i pod Wiedeń, skoro Chrześcijaństwo w niebezpieczeństwie. Któż, jeśli nie Polska, stanąć ma w obronie Krzyża?

(*Zasłona spada*)



Kto nie był w polskich górach, niema pojęcia, jak wyglądają juhasi z kierdelem owiec na hali, o czem tak często czyta i słyszy. Otóż nasza ilustracja właśnie przedstawia u stóp Tatr, na Podhalu, pasterzy czyli juhasów (najstarszy z nich zwie się bacą), którzy przez lato pasali kierdele, to znaczy stada owiec na dolinach górskich, zwanych halami, mieszkając w czasie słoty w szałasach na ten okres tam pobudowanych, a przed zimą spędzać będą trzody z hal zpowrotem do swoich wiosek.

Pokusa psotnicy.

(z dzienniczka uczennicy).

Poniedziałek.

Dzwonek. Nareszcie koniec godziny. Uf! usiedzieć już nie mogłam. Zrywam się z miejsca, pędzę do drzwi. Oby jak najprędzej wydostać się na korytarz. A tu masz! rozkaz; „ustawcie się parami“... Po co to? Tak długo trzeba czekać aż się wszystkie wygramolą... Ach, nareszcie wychodzimy... nawet do ogrodu...

Raz, dwa, trzy! Kto prędzej dobiegnie do końca alei?...

Wyciągam nogi jak mogę... Nie, nie dam się wyprzedzić!

Wtem... świeczki stanęły mi w oczach, widzę niby gwiazdy... i rrmm jak długa na ziemię. A moja współzawodniczka już u mety. Podnoszę się zwolna, dotykam ręką czoła — guz. Patrzę wdół — sukienka rozdarta, pończochy powalane, ręce omazane błotem... Oj, ten niepoczciwy korzeń musiał sterczeć z ziemi... Co teraz począć... A tu masz... dzwonek! Jakże wejść tak do klasy?...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Lekcja. Cisza. Każda pracuje w skupieniu. Mnie jakoś nic nie chce dziś iść do głowy... Mam ochotę psocić... Coby to za figla spłatać Jance?... Już wiem: schowam jej bruljon, niech poszuka sobie... Wyciągam rękę poza plecyma zaczytanej Janci — ściągam — udało się. Już go mam w szufladzie.

Wtorek.

— Zaleska! przeczytaj zadanie — rozlega się głos nauczycielki.

Janka wstaje — blada jak ściana. Mówi głosem drżącym:

— Nie napisałam zadania.

— Czemu.

— Zginął mi wczoraj bruljon, nie miałam tematu ani zapisków, nie mogłam opracować...

— Mogłaś się postarać o temat od koleżanki... Widocznie nie bardzo ci na tem zależało. Siadaj.

Janka siadą ze spuszczoną głową i dwie wielkie łzy spadają na zeszyt.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

I poco to było? Ona przeze mnie płacze. Schowałam bruljon ze zbytków, a potem zapomniałam oddać. To ja jej przykrość zrobiłam. Nie mam spokoju...

Przyznam się, że to moja wina... Ale co o mnie pomyślą...

A przecież Janka przeze mnie cierpi...

Nie, nic nie powiem, a potem bruljon jej nieznacznie podsunę...

Lecz coś mi tak ciężko na sercu... Coś mi spokoju nie daje... Nie mogę patrzeć w jej stronę...

— Proszę pani! to ja jestem winna, że Janka nie wypracowała zadania. To ja jej wczoraj z figlów schowałam bruljon, a potem zapomniałam oddać... Proszę się na nią nie gniewać...

Wszystkich oczy zwrócone na mnie, szmer oburzenia przebiega po klasie... Jest mi już wszystko jedno! Zrobiłam źle — ale nie chcę być kłamcą.

Stokrotka.

ZA KRZYŻEM

(Ciąg dalszy).

W pamięci dzieci odżywały obrazy przeżytych w rodzinnej wiosce wiosen. Przypominały sobie chatę swoją, jak przez lato tonęła cała w gęstwie wysokich malw różnokolorowych i słoneczników o wielkich złotych twarzach, patrzących zawsze ku słońcu. I tu siano kwiatów dużo, ziół różnorakich na wszelkie choroby, które leczyć umieli na Litwie czarownicy i czarownice, ale sieroty czuły, że nic im nie zastąpi, nic im się piękniejsze nie wyda nad to, co siała i sadziła w dalekiej Polsce matka rodzona.

Bywało, zapuściły się nieraz same we dwoje nieco w skraj boru, bojąc się jednak dalej w głąb zajrzeć. Szły stamtąd ku nim dziwne, nieznane głosy dzikiej zwierzyny, która, porzuciwszy zimowe legowiska, przebiegała teraz puszczę od krańca do krańca, łamiąc i depcąc po drodze gałęzie.

Przemknęła nieraz przed oczyma dwojga wygnańców gromada ślicznych saren lub rogatych jeleni, mignęła zdala sierść czarna olbrzymiego dzika, a nawet raz poprzez gęstwę pni i gałęzi dojrzały leniwie się posuwającego niedźwiedzia. Dzieci zdrętwiały z przerażenia i przytuliwszy się do siebie, przylgnęły bez ruchu do potężnego pnia odwiecznego dębu. Zwierzę poruszyło głową na wszystkie strony, wydało z siebie jakiś pomruk ponury, a po chwili zawróciło w głąb boru.

Gdy tak wstrzymując się nawet od oddechu, stały nieporuszone, coś im nagle zaszeleściało pod stopami. Ludomir wskazał Dobrochnie tylko oczami miejsce, gdzie z pod stosu opadłych w zeszłym roku liści wyślizgnął się wąż. Spojrzenie dzieci pobiegło za nim. Gad wzniósł głowę nieco w górę, wystawił rozdwojony język, poczem powoli zaczął przesuwać się poprzez najgęstsze krzaki rosnące dokoła. Na chwilkę zginął z oczu strwożonych jeszcze dzieci, wkrótce jednak znowu go ujrzały.

(*Ciąg dalszy nastąpi*). *Ela Oleska.*

Z tajemnic życia zwierząt

(Dokończenie).

Historycznym jest przecież ogon lisa. Samson spalił plony Filistynów, wypuściwszy na ich pola 300 lisów powiązanych parami, a zaopatrzonych z tyłu w pochodnie. Mówią o tym złodzieju kur nienawidzące go gosposie wiejskie, że ma na to tak puszysty ogon, by mu łatwo było zacierać nim ślady za sobą. Powiadają, że się umie nim osobliwie posługiwać przy łapaniu raków, które łakomie zjadać lubi, zanurzając ogon w potoku na to, by mu się doń przyczepiały. Mimo więc dobrej rady owego lisa z bajki, który straciwszy swój ogon w sidłach, namawiał swoich współbraci do poodgryzania sobie ogona, gdyż teraz tak modnie, żaden z nich nie godzi się pozbawić takiego pożytku dla kaprysów mody.

Tylko użyteczności ogona świńskiego jeszcze jakoś nikt nie wykazał, toteż ten nie przeszedł do historji. Nie historycznym wprawdzie, lecz za to legendowym stał się ogon jaszczurki: z powodu swej kruchości przedziwnej zostaje on nam w ręku, gdy uchwycimy zań zwierzątko uciekające i drga jeszcze przez chwilę jak wąż.

O ile słoń o olbrzymiem cielsku posiada zaiste śmiesznie mały, prawie nieznaczny ogonek, o tyle znowu szczur ma ogonek dziwnie długi i cienki. W zimie można znaleść nieraz w zakątkach śpichrza gromady szczurów poczepiane z sobą ogonami tak silnie, że niesposób ich rozwikłać. Pochodzi to stąd, że zbijają się w mrozy w kupkę dla ogrzania, a potem gdy odchody ich pozlepiają im ogony i pozamarzają na nich, szczury zaczynają się rzucać, by iść na żer, lecz coraz więcej plątają się we własne ogony i przez nie marnie giną. Ale to już istny wyjątek, gdy za regułę należy wziąć właśnie nadzwyczajną użyteczność tego narządu u zwierząt.

Oddaje on wreszcie liczne usługi i ludziom w gospodarstwie. Lisie ogony oddawna służyły za szczotkę do kurzu. Wieszano go nad głowami koni, by się wciąż chwiejąc, odganiał muchy. Ogon zwierzęcia nazywającego się pracz szop okala szyję pań pod nazwą boa. Z sierści ogona borsuczego robi się sztuczne brody dla użytku teatralnego. Wiewiórka i wydra dostarcza nam szczotek i pendzli. Bobrowe ogony stanowią „przysmak". Woń wydzielająca się z ogona susła odstrasza serowca, robaka nieznośnego, który toczy sery. W Ameryce południowej żyją zwierzęta zwane pancernikami, otóż ich opancerzone ogony służą Indjanom jako grzmiące trąby. *A. S.*

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Zagadka.

Z której strony mnie czytasz, zawsze jedno znaczę,
Chwilkę tylko mianuję, chwilką się tłomaczę.
Gdy mnie jednak powtarza jaki leń nieskory,
Ta chwilka do zbyt długiej przeciąga się pory.

Szarada.

Wraz z *pierwszą* w skład wchodzę srebrnego cnót wieńca,
A winnam być ozdobą każdego młodzieńca.
Gdy *pierwszą* odrzucę, to mi pozostanie
Każdego drzewa i krzaku ubranie
I to bez względu na to,
Jaka *pierwsza z trzecią* — zima czy lato.
Więc się z trzech zgłosek *całość* składa,
A z trzech wyrazów szarada.